

Andrzej Walter

Marek Wawrzkiwicz

Marek Wawrzkiwicz skończył 85 lat i być może z tej między innymi okazji poobwiał na oścież swoje szuflady.

To nie jest człowiek kameleon, otwarty zawsze i wszędzie, kompatybilny z okolicznościami. Nie rzuca słów na wiatr, ale też nie kłuje słowem bez namysłu, nie rani nim, nie emanuje nadrzędnością swojego poglądu, nie musi być pierwszy wśród równych i równiejszych i nie musi być Noblistą swojej mądrości ponad mądrości już okrzepłe, ugruntowane i stabilne. To nie jest żaden rewolucjonista, buntownik, brawurowy, waleczny Che Guevara, ani też przewidywalny, obliczalny, do bólu wyrachowany i nad wyraz przebiegły salonowy lis.

Marek Wawrzkiwicz jest nader zwyczajny i po prostu urodził się poetą. Urodził się pełnym, wrażliwym, prawdziwym i jednym z ostatnich poetów (idealnie obrazując nieaktualną już definicję, kto może być poetą) i do tego poetą minionej już epoki (książek i poetów odchodzących w nieistnienie), w sensie bardziej głębokim niż ten, który sprowokował onegdaj, że „Wszystko (ponoć) jest poezją”, a nawet jest poetą w sensie bardziej dojmująco wiarygodnym (bez narcyzmu i pozerstwa) niż pomnikowi: Miłosz, Herbert, Różewicz i cała plejada tysięcy zastępów naśladowców.

Marek Wawrzkiwicz jest niejako poetą własnym, osobnym, niezależnym i prawdziwie wolnym, z własnym językiem, z własnym tembrem, kolosalnie prywatnym głosem w tej swojej poezji, z miksturą poezji najprawdziwszego wczoraj, osłodzonego i przyprawionego jakże zauważalnym, realnym dzisiaj. Jest to poezja snutej opowieści, poezja właściwej narracji, poezja będąca wypadkową epok, stylów, wagi słowa, zarówno od strony wizualno-estetycznej jak i treściowej. Poezja, którą można się całkowicie zaczytać, zaczytać doszczętnie, wniknąć w nią niczym w powieść, której również już nie ma (prawdziwa powieść odeszła do lamusa), a która nas – piszących czy czytających te słowa – wychowała na łaknących poezji, niedzisiejszych najdziwniejszych z dziwnych marzycieli, nieprzystosowanych do coraz powszechniej panujących realiów świata, w którym rządzą, dzielą i królują – silniejsi.

Wawrzkiwicz zaleca dystans, hibernację, zamrożenie myśli i uczuć, poznawanie świata zmysłami, nie orężem, odczuwanie świata uczuciem, nie siłą woli, nie triumfem zwycięzcy, ale łagodnością czułego obserwatora. (Lecz nie czułego narratora Tokar-

czuk). Może nawet kibica. Widza, a siłą rzeczy i racji stanu mimowolnego i biernego uczestnika upadku tego świata. Nieodwracalnie wpisanego w rytm dziejów, w ducha czasów, w atmosfery, relacje, nastroje i puls krwioobiegu, ale jednocześnie komentującego z perspektywy mędrca, sprawiedliwego i oddalonego od jądra niegodziwości. To oddalenie od nieczności, jest u niego bodaj najważniejsze. Niewielu dostrzega to w pełnej jaskrawości, że powiem znów Sta-churą. Poetę dziś należy przeciw przyspawać do kontekstu.

Wszystkie jątrzące i niesprawiedliwe rzucone oszczerstwa z nadania polityczno-historycznego w przypadku Marka Wawrzkiwicza okazały się kłamstwem, czy choćby nadużyciem, albo propagandą, tendencyjnie przedstawionym pół-faktem, z którego kamienie dawno już zwietrzały, rozproszyły się i rozpadły siłą dawno wypowiedzianych bredni, na potrzeby ówczesnego aktualnego zdeprecjonowanego utalentowanego i zaangażowanego, było nie było, społecznie literata. To było ordynarne podstawienie nogi, tylko dlatego, aby przykryć naręcza własnych niedoskonałości pierwszym lepszym kozłem ofiarnym, bez żadnych dowodów, konkretów i faktów, a z nośnym nazwiskiem, człowieka na świeczniku, który był idealnym celem pomówień czy sugestii, które to z kolei doskonale wpiły się w ducha czasu polowania na bliźniego jako przejaw frustracji i niedomówień, które miały podbudować tę świetlaną, nową, cudowną organizację – niby lepszą, zdrowszą i świeższą. Ci ludzie do dziś podtrzymują te swoje opowieści dziwnej treści, za główny grzech uważając lewicową wrażliwość naszego Jubilata, która zaowocowała przynależnością do przedwodniej siły narodu.

Komentarz na to może być tylko jeden. Dzisiejszy socjalizm przerósł wyobraźnię i potencjał socjalistów ówczesnych. Dzisiejsza przewodnia siła narodu jest jeszcze mocniej groteskowa i służalcza neomarksistowskiej jedynie słusznej ideologii, a grzechy przeszłości na tym tle okazały się niewiele znaczącą fraszką adekwatną do minionych (jakże bezpiecznych z dzisiejszej perspektywy) czasów. Nadeszły hordy barbarzyńców, nadsięgnęły watahy ludzi bez żadnych właściwości, a za oknami mamy wojnę grubych z chudymi oraz najpodlejszy kabaret rodem z kloaki czasów, w których książkę już nie tyle spalono na stosach (jak za Hitlera), ale po prostu: opluto, wyszydono i wycięto w pień i zastąpiono

wizualizacją rozrywki z właściwą sobie neo-propagandą: jaka oglądana stacja, takie „poglądy”. Człowiek zamienił się w papugę nadawanego komunikatu, najlepiej maksymalnie skróconego, tak, aby zrozumiał go największy ciótek stada. I tak oto społeczeństwo stało się stadem baranów prowadzonych na rzeź.

Zostawmy to. Wróćmy tedy ku poezji, bo tylko poezja, ba, może poezja i przyjaźń pozwoliła wytrwać i przetrwać naszemu Wawrzkiwiczowi w stanie nienaruszonym te czasy burz i naporów, do czasów dzisiejszych – czasów zgnilizny i degrengolady totalnej. A skoro padło tu słowo czy pojęcie – przyjaźń, to warto podkreślić i inne znaczenie, a nawet osiągnięcie Marka Wawrzkiwicza. Najstarsza polska organizacja literacka, ponad już stuletni Związek Literatów Polskich, którego jestem dumnym członkiem, to są trzy nazwiska, nazwiska jakże znamienne dla polskiej historii literatury: otóż są to: **Żeromski - Iwaszkiewicz - Wawrzkiwicz**, te trzy, nie ujmując nikomu i niczemu, i wszelakim „po drodze” innym ważnym nazwiskom ZLP (jak Tuwim, Przyboś, Broniewski choćby) z noblistami na czele (też przecież członkami ZLP swego czasu).

Piszę to w pełni świadom. Rozważysz wszelkie za i przeciw. Wszelkie złe instynkty i tendencje wciąż potężnych w środowisku literackim (choć cóż, ono dziś znaczy na tle państwa i społeczeństwa, i obecnej hierarchii szacunku, zatem i ta „potęga” zwietrzała) pewnych osób, które nadal naszego Prezesa, Jubilata, utopiłyby w łyżce wody, jedni najlepiej w święconej, inni najlepiej w morowej. Otóż, Drodzy Czytelnicy, wybaczenie... „powiewa mi to” – że wulgarnie zauważę językiem, ba, slangiem nowomowy, tej bardziej obytej młodzieży. Nie dbam o to. Zapewne ma na to i wpływu ów nieszczęsny kontekst upadku w ogóle tej naszej pozał się boże literackiej pozycji społecznej. Mówię, czy piszę to, co myślę, a jeśli ktoś myśli inaczej, niech dowiedzie swoich tez. Miał na to 30 lat, a ja daję mu kolejne 30. Zapraszam do polemiki. Na argumenty i fakty, a nie subiektywne domniemanie i starą śpiewkę jak to zły Generał i tak dalej...

Przypomnę Wam tylko, niestrudzeni obrońcy prawdy i sprawiedliwości, zapominający belkę w swoim oku, a widzący drzazgę w moim, nieszczęśliwi internowani, więzieni, prześladowani i gnębieni, że w ramach robienia karier i lansu, środowisko, które tak pokochaliście, nazwało